

## Przeklęte szczęście.

(Ciąg dalszy.)

— W twojej kamizelce znalazłam pięć rubli... Wzięłam ją do naprawy i w górnej kieszeni... Patrz!...

Władysław usiadł na szelagu, a żona upadła mu na szyję.

— Widzisz, jaki Pan Bóg łaskaw... Mieliliśmy tylko rubla w domu, tyś się martwił, widziałam to i oto mamy pieniądze. To na parę dni nam wystarczy, a potem będziesz miał robotę!

— Skąd?... spytał mąż.

— Czy ja wiem skąd?!

— odpierała, pieszcząc go. Ale przecież mieć musisz, bo to już ostatnie pieniądze!

— Dziecko!

— Ciekawam bardzo, skąd one tam się wzięły?

— Przypominam sobie. Zdał mi ktoś resztę, ja schowałam pięć rubli do kamizelki, a potem pomyślałam, że zgubił. Rok już tam leżał!

— No, widzisz, jak to nie trzeba się martwić. No, uśmiechnij się! Tak, dobrze... Wieg nie podziękujesz żonie, że ci stare kamizelki naprawia?... Ach! ty nie dobrego... Już trzeci dzień płakać mi się chce! Nie mówisz nic do twojej żony kochanej, a kanarka się guiewasz, desperujesz po kątach. No przeproszę... Tylko przedziej!... jeszcze raz...

Władysław czuł, że pod wpływem tego szelagowania, a może i znalezionych pięciu rubli, powraca mu spokój. Uśmiechnął się ze swojej rozpaczy i prawie nie mógł wierzyć, że tak drobna rzecz, jak znalezienie trochy pieniędzy, może przywrócić zachwianą równowagę i zniszczyć wielką burzę duchową.

— Każę już dawać obiad, mówiła Helenka. Mamy zupełną z smietaną, z grzankami i kartofle smażone.

— Uważam, że zupełny rachunek co najmniej za cztery potrawy?

— Ale, bo widzisz, dla ciebie kazałam jaj ugotować.

— A dla siebie?

— Ja jaj nie lubię. Ale zresztą, w tej chwili przyszedł mi apetyt. Każę dołożyć parę dla mnie i dla Mateuszowej.

Niebawem zrzędną Mateuszowa podała obiad, a Władysław zdjął szal z klatki. Kanarek, zobaczywszy światło, zatrząsał się i zaczął świer-

gotać. Towarzyszyły mu wróble na dachach, krople rosy, obficie spływające z dachu i wesoly śmiech Helenki.

Teraz Władysławowi nie wiadomo, skąd przyszła na myśl wiosna. Przypominał sobie, że dzieckiem jeszcze będąc, wybiegł pewnego dnia do ogrodu, powielkim deszczu. Trawa, wczoraj błada, dziś była zielona jak szmaragd; drzewa okryte wczoraj pęczkami, dziś pełne były młodych listków. Na ziemi stały kałużę wody, na niebie jaśniała tęcza, a w jego duszy dziecięcej obudziło się coś, czego jeszcze nie umiał nazwać.

Wszystko to przypominało mu się bardzo dokładnie, skutkiem czego uścisnął i ucałował żonę, która mimochodem spojrzawszy przez firankę, dostrzegła w oknie po drugiej stronie śpiącą szlafmnicę z fontażem i złotą twarz chytrego staruszka.

Chudy starzec śmiał się jak dawniej i jeszcze mocniej przy-mrużał oko, lecz tym razem Helenka nie guiewała się na niego. Miłosierny Bóg tak już ten świat urządził, że młodzi mężowie cieszą się pięciorublowkami, młode żony mężami, a staruszkowie radością młodych!...

## III.

## WIDZIAŁA.

W parę dni, małżonkowie mieli jeszcze całkowite trzy ruble, lecz widoków na robotę nie było. Mimo to cieszyli się jak dzieci i nie bez powodu. Dziś był u nich na herbacie dawny, a wypróbowany przyjaciel Władysława, zarazem drużba obojga, Józef Grodzki, który w przejeździe z pod gór Uralskich do Łódzyna, wstąpił na kilkanaście godzin do Warszawy.

Grodzki, z powołania inżynier, od pół roku mieszkał na granicy Azji i robił tam fortunę. Był to blondyn niski i tusty, mówiący głośno, śmiejący się jeszcze głośnie, energiczny, trzeźwego umysłu i z najlepszym sercem chłopaka. Kochał Wilskich, jak własną rodzinę i przywiózł im z odległej swojej siedziby gościńca: parę chińskich filiżanek, okruch rodzinnego zioła i kawał malachitu.

W tej chwili troje naszych przyjaciół siedziało przy herbacie, a Grodzki opowiadał im swoje dzieje, które zakończył w następujący sposób:

— No! a wam jakże się

powodzi?... Spodziewam się, że dobrze! Ja mam wprawdzie sześć tysięcy rubli pensji, lecz w kraju, gdzie nie wierzą w skarpetki i chustki do nosa, człowiek, chcący żyć po europejsku, musi dużo wydawać. To też zaledwie uciulałem sobie tysiąc rubli i te złożyłem dzisiaj w naszym banku. Nę-dza!... co?...

Usłyszawszy to, Helenka podniosła na męża swoje słodkie szafirowe oczy z dziwnie żalonym wyrazem, a Władysław lekko brwi zmarszczył. Grodzki uchwycił w przelocie tę niemą rozmowę biedaków, czegoś się domyślił i rzekł:

— Z tem wszystkim mam duży kłopot. Obstałowo u mnie projekt parowego wylotu. Wierny zasadzie: drzyłyko, póki się da, przyjałem obstałunki, zacenilem po 300 rubli sztukę, a pieniądze wziąłem z góry. Dziś za karę, będę musiał szukać technika, któryby je wykonał, a czasu nie mam.

— Możeby Władzio? wtrącała spiesznie Helenka, oblewając się purpurowym rumieńcem.

Władysław siedział jak na szpilkach.

— Władzio!.. odpisał Grodzki. Najchętniej oddam mu robotę, byle ją tylko raczył przyjąć. No i cóż ty Władzio?...

— Przyjmę!

— Brawo!... Tak to rozumie, skończywszy interes w dwu wyrazach. Notatki i pieniądze dał ci zaraz. Z tymi słowy inżynier wydobyl z kieszeni bajecznej wielkości pu-gilares, pełen pieniędzy, włożył i notat, wyjął stamtąd kawałek papieru, zapiekuł go cyframi, sześć storublowych banknotów i wszystko to położył na stole.

— Wydobyleś nas z ciężkiego kłopotu! zawołał Władysław, ściskając go za rękę, poczem opowiedział mu o swoim położeniu.

— Niepoczuw! wykrzyknął inżynier. Gdybyście byli do mnie choć słówko napisali, pożyczylbym wam kilkadziesiąt rubli na parę lat bez procentu!

Po podziękowaniach i obustronnych zapewnieniach o przyjaźni, rozmowa skierowała się na inny przedmiot.

— Cóż Władysławie, jakże będzie z naszą spółką i fabryką?... zapytał, śmiejąc się Grodzki.

— Dojrzewa w biurku! od-

parł tym samym tonem Władysław.

— Trzeba pani wiedzieć — mówił inżynier, zwracając się do Helenki, że mąż jej co dzień tworzył nowy projekt, a każdy filantropijny, choć zresztą bardzo rozsądny. Miedzy innymi namawiał nas, w szkole jeszcze, abyśmy, powróciwszy do kraju i dorobiwszy się pieniędzy, założyli fabrykę piótna...

— Na którą pan ma obecnie tysiąc rubli, a Władysław znowu przerwał Helenka.

— I to jest kapitał, odpisał Grodzki. Głoz nasza fabryka, mówię pani, miała stanowczo wyrugować piótna zagraniczne i wywołać przewrót w tego rodzaju zakładach krajowych. Władysław zaprojektował nowy system wentylacyjny dla zdrowia robotników, dalej tanyemy i emeryturę znowu dla nich. Dalej czytelnici dla dorosłych, bardzo znakomita szkoła dla dzieci i pewien rodzaj seminarium dla praktykantów.

— Marzenia!... wtrącił ze smutkiem Władysław.

— Pozwól sobie powiedzieć, odpisał Grodzki, że wolę te marzenia naszej młodzieży od knajpiarstwa i bursynady studentów niemieckich. Powiem ci nawet więcej, że twoje marzyielskie projekty uczyły nas na obczyźnie myśleć o kraju i jego potrzebach i że one to właśnie zjednały ci serca wszystkich. Nie opuszczaj zatem rąk. Nie udaj się do fabryki piótna, nie udaj się do szkoły technicznej, nie udaj się do warsztatu. Ja wcale nie daję za wygraną. Dziś jestem na drodze do majątku i honorem ci ręczę, że skoro zbiorę kilkanaście tysięcy rubli, przypomnę ci twoje projekty.

Gadaliwemu inżynierowi świeciły się oczy, gdy to mówił. Cała jego fizyognomia wyrażała energię, zapał, a nade wszystko ufność we własne siły, których nieco znękaną Władysław już nie posiadał w takim stopniu.

— Ile to potrzeba pieniędzy na fabrykę! — odezwała się Helenka, kręcąc głową.

— Zapewne, że wiele! Z tem wszystkim jednak mąż pani, gdyby umiał kuć żelazo na gorąco, mógłby już dawno otworzyć podobną fabrykę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



**PASTOR KOENIG'S NERVE TONIC**  
Rozgłasza jego sławę.  
St. Edward's College  
Austin, Tex., 22 Kwietnia 1892

San Elizario, Tex., 12 Czerwca 1891.  
Przed 2 laty łaskawie przesyłał mi kilka flaszek „Pastor Koenig's Nerve Tonic”, gdyż polecał mi je często przy chorobach systemu nerwowego, a w każdym poszczególnym wypadku skutki były takimi, iż moje ku niemu zaufanie się zwiększało, a sławę jego dalej rozgłaszałem.  
F. J. Harris, proboszcz.

**DARMO** książkę wielkiej wagi o chorobach nerwowej i butelkę na próbę posyłamy na wasz adres. Biedni także otrzymają lekarstwo darmo.

Lekarstwo to przyrzadził Ks. Koenig z Fort Wayne, Ind. od r. 1876, a teraz sprzedawane jest pod nazwą: **KOENIG MED. CO., Chicago, Ill.**

49 ulica S. Franklin.

Sprzedawane po aptekach: za \$1.00 butelkę, a 6 za \$5.

Doza butelka \$1.75, a 6 za \$9.

W Milwaukee u E. Krembs'a, róg 1-szej i Greenfield Ave.

## Odezwa do czytelników!

Aby dostarczyć czytelnikom polskim wszelkiego rodzaju i wieku materiału dla bibliotek domowych i brackich w poprawnym polskim języku i duchu katolickim: aby umożliwić również dzieciom jak starcom miłą zabawę w czytaniu i przyrzucić cegiełkę do wielkiej budowy uznaczenia naszej emigracji polskiej, wydajemy od 1-go Stycznia, 1899,

tygodnik powieściowy

## “ŹRÓDŁO”.

Tygodnik ten zawiera trzy doborowe powieści i nader cenne rozprawki, mające razem stanowić księgę 9x12 z końcem roku.

Prenumerata roczna na “ŹRÓDŁO” i “KATOLIK”

razem wyniesie będzie \$2.00

Prenumerata na sam ty-

godnik “ŹRÓDŁO”.....\$1.00

Prenumerata na sam ty-

godnik “KATOLIK”.....\$1.50

Tak pojedynczo jak i obydwie tygodniki płatne są całorocznie lub półrocznie z góry za przekazem pocztowym lub czekami pod adresem wydawcy:

**REV. W. GRUTZA,**

Cor. Lincoln & First Ave.,

MILWAUKEE, WISCONSIN.

Uprasza się więc Szanownych Czytelników, aby po odebraniu numeru okazowego zawiadomili redakcyję, czy zechcą do piśmie prenumerować, gdyż dalsze numery takowego tylko tym posyłać będziemy, którzy je piśmiennie lub ustnie zamówili.

Po najlepsze i najnowszej mody zrobione

## FOTOGRAFIE

....IDŹCIE DO....

**N. L. STEIN, fotografisty,**  
452 ul. Mitchell, nar. 2giej Ave.

## FIEBING i KILLILEA,

Adwokaci pierwszorzędni

do spraw sądowych, cywilnych i karnych, załatwiają wszelkie sprawy z największą punktualnością i rzetelnością po cenach umiarkowanych.

BIURO: 343, ulica Trzecia,

MILWAUKEE,

WISCONSIN.

## GENOWEFA

POWIEŚĆ z wieków średnich nadzwyczaj interesująca wyszła z druku starannie opracowana językiem poprawnym i jest do nabycia

w redakcyi “Katolika”

.....ORAZ.....

w księgarni Wiltzius'a.

Jest to dziełko nieocenione dla czytelników wszelkiego wieku i rodzaju.

CENA egzemplarza 25 centów.

Przy kupnie większej ilości daje się rabat

## Kwoty ubezpieczenia na życie

wpłacone do Kompanii assekuracyjnej

## “New York”

może zabezpieczony po trzech latach każdego czasu z pro-wizją odebrać.

Najkorzystniejsza usługa u

**JANA McNAMARA,**

Auditorium Hotel Annex., Chicago, Ill.

Osobliwe ustępstwa dla katolików i katolickich duchownych.

## POLSKI SKŁAD WIN I WÓDEK,

oraz wielki zapas WIN MSZALNYCH i familijnych.

Szczególnie poleca się własnego wyrobu KUJAWIAK, trunk służący jako najskuteczniejsze lekarstwo na wszelkie dolegliwości żołądka.

**ANTONI ANDRZEJEWSKI,**

723—725 Windiake Avenue,

MILWAUKEE WIS

## KURPIE.

Powieść Historyczna przez Kazimierza Władysława Wójcieckiego.

“Stara powiastka jak wino z Tokaja  
Serce zagrzewa i umysł upaja.”  
Dominik G. Magnuszewski, konfederat.

(Ciąg dalszy.)

— Ale mój kumie to się nie godziło, i ja ze śmiałem czołem i naszemu królowi powiem: Jasnie Wielmożny królu, prawda, spał u mnie król szwedzki, ale że to była moja chałupa, wydać się nie godziło. Potem człek ma czyste sumienie i teraz myśli o czym innym.

Borowy nie odrzekł, obejrzał strzelbę i podsympkę.

— Ale, ale, we wsi gadają, że znowu bójka będzie (mówiła Małgorzata) że Szwedzy znowu się zbierają i chcą mścić się na nas biedakach.

— Niech się dzieje wola Boska, toć człowiek nie fryc do bitwy już powąchał prochu, a potem moja Małgosiu, nie tak łatwo im się po takiej fry-cówce i zebrać.

— Co ludzie gadają, mój kumie, to i wygadają; czy myślisz, rzekł coraz z większym zapałem borowy, że te czerwone djabyłki darują nam za krew przelaną, którejsmy tyle natoczyli, ile wody w O-mulewie. Nie zapewne, głowa za głowę, krew, krwią się płaci; jeszcze nie raz borowy poświata ołowianą kulą, nim samemu, Bóg wie jaki koniec przypadnie. Co mówiła Małgorzata, to żywie Bóg prawda; już nasi wysłani na zwiady, widzieli jak się Szwedzy zgromadzają. Od Szczuczyna pokazało się jak kaweł na słońce, piechoty i jazdy, mówili, że sam król nimi dowodzi, że przez Łomżę prosto na Ostrołękę ciągną, że bokiem zachodzą do Myszeńca. Pani nasza wysłała zaraz ze trzech wiosek naszych, by utrudzali na drodze, pojechało tam dosyć szlachty, ale dobrze mówią, że to panowie szlach-

ta, jednemu wór, drugiemu płachta. Kończąc te słowa, uśmiechnął się szydersko; Jasko nadbiegł w tej chwili zadyszany.

— W Dąbrowie biją na gwałt, pani kazała uderzyć we wsi każdej, gdzie tylko dzwonić, i żeby się zbierać zaraz; czerwone djabyłki uderzyli na nas, już strzelanie ze dworu słychać, pan podsta-rości, co wrócił z po za Ostrołęki, mówił, że się nasi tego trzymali, ale jak odjeżdżał, nie wie co dalej wypadło, ale od strzelania aż ziemia się trzęsła, wi-dać, że armaty sprowadzili.

Borowemu ogniem zabłysły oczy.

A No dalej! Staśku, w imię Boże, zapołujem! Hej działa do broni!

Małgorzata zaczęła płakać; stojąc przy kominie o-cierała łzy fartuchem Stanisław Bąk rzekł z roz-zewieniem:

— Moja Małgosiu, płacz nie nie pomoże; miejmy w Bogu nadzieję, dajcie no tymczasem co do torby i wódki we flaszkę. Gdy Małgorzata odeszła do komory, Stanisław Bąk wziął Jaskę za rękę i rzekł z cicha:

— Uważaj dobrze, jak się będą czerwone djabyłki zbliżyły, uprowadź matkę do Kwiczola, a wczesnie wynieść wszystko z chaty.

— I zapal ją potem, zawołał borowy, żeby Szwed nie znalazł dachu do spoczynku, gdzie przespał noc jedną ich pan, ich król, któregośmy mieli w łapie, a wypuścili.

Stanisław spojrzął surowo. Małgorzata z płaczem wyszedszy z komory, wypakowała torbę.

— No! komu w drogę to czas! Bywajcie zdrowi, moja Małgosiu, Jasko niech siedzi w domu. Uściśkał żonę, borowy ją pocałował i wyszedł z chaty, a za nimi wybiegł Jasko. Małgorzata skro-piła ich wodą święconą i stojąc w progu ciągle żę-gnała, dopóki nie zniknęli w gęstym lesie. Wróciła do izby, usiadła na ławie:

O biednaku! a biedna sierota! zawołała irzewnym płaczem wciąż swoje boleści tymi głosami wyraził.

Tymczasem Jasko odprowadziwszy ojca i borowego, pożegnał się z nimi, wrócił do chaty, ujrzał,

jak matka zapaliła świecę woskową przed obrazem Panny Maryi Częstochowskiej, uklękła i ze łzami się modliła. Rozrzewniony odwrócił się do ściany, zapłakał, i w cichości sukmaną łyż otarł; wyszedł na podwórze, narabiał sołniny podłożył u komina, rozdmuchał ogień; Małgorzata wciąż się modliła.

## XI.

“Skoczył Kozak zarzął pod nim wrony.”

“Chrzest się ował, kopyta zagrzmiwały.”

August Bielowski (Trójciele.)

— Gdzie się teraz obrócim? rzekł z cicha August II, wstrzymując konia do starosty Szmigielskiego.

— Zdaje się, Naj. Panie, że widzę łunę z ognisk, która się przez te gęste przedziera krzaki, sądzę, że to ogniska Szwedów, naszych w tej stronie nie ma.

— Cóż robić będziemy? zapytał król z niespokoj-nością.

— Zaraz sobie poradzim, odpowiedział starosta.

— Hryć zawołał na swego Kozaka.

Zbliżył się młody Kozak, wysmukłej postaci, twarzy przyjemnej, oczu bystrych i pełnych ognia.

— Wedrzyj się na tę sosnę i co ujrzyysz opo-wiedz.

Hryć zręcznie skoczył z konia, stanął pod so-sną, zmierzzył oczyma jej niemałą wysokość, prze-zegnał się trzy razy i ze zręcznością wiewiórki, wdarł się na sam wierzchołek.

— Jaka zręczność i siła! rzekł August.

— Nic dziwnego, N. Panie! od młodych lat wprawiają się Ukraińcy do tego, bo Tatarów do-glądają za szczytów drzew swoich.

Po niedługiej chwili Kozak szybko zsunął się ze sosny.

— Ogniska szwedzkie widać gęste, i aż pod sam las dochodzą, a czaty w około blisko nas stoją.

— Co robić, co robić, no, radź mój starosto!

rzekł król August.

— Audaces fortuna juvat! odpowiedział Szmigielski. Zatrzymaj się tu z Kozakiem, N. Panie, a ja dostanę języka.

Domawiając tych słów, spał ostrogami swego karego, i ruszył wąską drożyną. August zsiadł z konia, i spoczął pod drzewem. Kozak trzymał jedną ręką za cugle konie, w drugiej przygotowany pistolet, i nasłuchiwał uważnie każdy szelest i każde poruszenie w lesie.

Szmigielski niedługo wyjechał z lasu, ujrzał drabantu na czatach konno stojącego z odwiezioną rusznicą. Szybko zajeżdżał mu z tyłu, w jednej chwili lotem błyskawicy natarł, olbrzymią siłą porwał za kark, sadza na swego konia i pędem na tę samą drożynę powraca.

Kozak z dala usłyszał chyże tąpnięcie i ostrzegł króla; porwał się August, dosiadł rumaka i zdobył szablą staję przygotowany. Lecz jakież było podziwienie jego, gdy zamiast spodziewanego nieprzy-jaciela, ujrzał w pędzie na jednym koniu szmigielskiego i zbladłego drabantu, który rusznicę z drzą-cymi ręką wypuścił.

— No! N. Panie! Szmigielski tak dostaje je-zyka, zawołał, on nam teraz wszystko wypowiada i posłuszy za przewodnika.

— Wieleś dokazał, panie starosto, z narażeniem życia, rzekł August.

— N. Panie! Szmigielski w obronie Waszej Królewskiej Mości nie raz to życie na szwank wy-stawiał! ale dobrze mówią: chłop strzela, Pan Bóg kulki nosi. Zsiadł z konia, rozbroił wybladłego jak Piotrowię z grobu drabantu, i oddał pod straż swemu Kozakowi.

— Teraz niech raczy W. Król. Mość rozmówić się z tym Szwedem, on nam służyć musi za przewo-dnika.

August rozpytywał go o drogę, o sile Szwedów i gdzie Karol XII przebywał; drabant zaledwie mógł przebąkiwać ze strachu. Zniecierpliwiony starosta zawołał:

— N. Panie, tu nie wiele mamy czasu do stra-ty, trzeba nam się wydobyć z tej przeklętej puszczy. Hryć! dobądź smyczy! i dał mu znak.

(Ciąg dalszy nastąpi.)